

# Ministerstwo obrony pudruje rzeczywistość. Gorzka prawda o rozbudowie polskiej armii



## MAREK BUDZISZ

Były dziennikarz, doradca dwóch ministrów w rządzie Jerzego Buzka, analityk. Obecnie w biznesie. Z wykształcenia historyk.

**Czy Polska naprawdę jest na dobrej drodze do stworzenia potężnej, nowoczesnej armii liczącej 300 tys. żołnierzy? Czy może to się udać bez powrotu do powszechnego obowiązku obrony? Dane budzą poważne wątpliwości**

Jaka jest liczebność polskiej armii? Udzielenie odpowiedzi na to – zdawałoby się – proste pytanie nie jest w naszych realiach łatwe, a nawet może stać się przedmiotem ostrych kontrowersji. Rządzący mają skłonność do podkreślania swoich sukcesów w odbudowie potencjału kadrowego i zdolności sił zbrojnych, z kolei opozycja zarzuca kierownictwu resortu obrony statystyczne sztuczki w postaci zaliczania do stanu osobowego armii pracowników tyłów w rodzaju obsługi medycznej czy administracyjnej.

Odpowiedzi na to pytanie nie ułatwia też panujący w Polsce kult tajności, co powoduje, że – inaczej niż w przypadku naszych sojuszników ze Stanów Zjednoczonych czy Wielkiej Brytanii – nie ma u nas zwyczaju regularnego publikowania porównywalnych i wiarygodnych danych.

## Rzeczywista liczebność polskiej armii

Obóz rządzący podtrzymuje zapowiedzi rozbudowy naszych sił zbrojnych do po-

ziomu 250 tys. żołnierzy oraz oficerów i dodatkowo 50 tys. w wojskach obrony terytorialnej i deklaruje, że jest na najlepszej drodze do realizacji tego celu. Nasi sojusznicy poważnie traktują te deklaracje, upatrując w Polsce rosnącą, a nawet największą w zakresie sił lądowych, potęgę kontynentalnej części NATO. A jak jest naprawdę? Oficjalnie MON twierdzi, że obecnie mamy „pod bronią” 172 tys. żołnierzy, co ma nas pozytywnie odróżniać od sytuacji roku 2014, kiedy to w wyniku redukcji stanów osobowych i likwidacji garnizonów „mieliśmy w wojsku 95 tys. żołnierzy”.

Z danych NIK wynika, że na koniec 2022 roku liczba żołnierzy zawodowych w polskich siłach zbrojnych wynosiła 118 340, a służących w Wojskach Obrony Terytorialnej (WOT) – 31 370. Te ostatnie dane nie obejmują żołnierzy zawodowych WOT, których na koniec ubiegłego roku wedle szacunków (utajnione dane – MB) było ok. 4,3 tys. To oznacza, że w ciągu 2022 roku liczba żołnierzy zawodowych

wzrosła o 4754 osoby, służących w Terytorialnej Służbie Wojskowej (głównie WOT) – o 3652, a do tego rachunku należy dodać (tak czyni MON) tych, którzy w ubiegłym roku wstąpili do zasadniczej służby wojskowej i po 30 dniach szkolenia i złożeniu przysięgi traktowani są jak pełnoprawni wojskowi. Łącznie w świetle danych NIK na koniec 2022 roku w naszych siłach zbrojnych służyło 166,5 tys. żołnierzy, choć przyrost kadrowy wśród pełniących służbę zawodową był więcej niż umiarkowany.

### **Oficjalnie MON twierdzi, że obecnie mamy „pod bronią” 172 tys. żołnierzy, co ma nas pozytywnie odróżniać od sytuacji roku 2014**

Jeszcze inne dane podał GUS, według którego stan kadrowy naszych sił zbrojnych na koniec ubiegłego roku w grupie żołnierzy zawodowych wyniósł 118,3 tys. Porównując, jak zmieniały się stany osobowe między rokiem 2015 a 2022 w naszych siłach zbrojnych, można stwierdzić, że w ciągu 7 lat odnotowano przyrost łącznie o 52 688 żołnierzy, w tym w grupie żołnierzy zawodowych o 22 118, w Terenowej Służbie Wojskowej odnotowano wzrost o 31 700 osób, zaś w Narodowych Siłach Rezerwowych mieliśmy do czynienia ze spadkiem o 12 455 osób. A zatem w grupie żołnierzy zawodowych, którzy są trzonem naszej armii, w ciągu ostatnich 7 lat mieliśmy do czynienia z 23-procentowym wzrostem, co oznacza, że utrzymując dotychczasowy trend, osiągniemy

zakładany poziom 250 tys. w służbie w połowie lat czterdziestych tego stulecia. Mamy oczywiście do czynienia z przyrostem służących w WOT i skokowym wzrostem liczby osób odbywających roczne przeszkolenie w ramach dobrowolnej służby zasadniczej, ale to jednak nie to samo co wzrost liczebności żołnierzy zawodowych.

Wyniki naszej polityki w zakresie rozbudowy sił zbrojnych oceniają też stale eksperci z zachodnich think tanków strategicznych. W jednym z ostatnich, opublikowanych w czerwcu br. raportów IISS, autorzy opracowania poświęconemu europejskim siłom lądowym stwierdzili, że nasze zdolności, w komponencie bojowym wynoszą obecnie 68 batalionów, podczas gdy w 2014 roku było ich 66. To i tak ponad dwukrotnie większy potencjał niż w przypadku Niemiec, postęp też jest zauważalny, ale trudno mówić o przełomie. Rozbudowa naszych sił lądowych idzie powoli, z pewnością wolniej niż hurraoptymistyczne zapewnienia Ministerstwa Obrony, pytanie tylko, czy w tempie adekwatnym do rysujących się zagrożeń.

### **Wyzwania dla szkolenia kadr**

Warto też zwrócić uwagę na kolejny problem, a mianowicie poziom wyszkolenia tego nowego narybku naszych sił zbrojnych. Jak na początku czerwca br. p. minister Błaszczak powiedział, a jego słowa przytoczono w oficjalnym portalu resortu, że ci, którzy „ukończyli szkolenie podstawowe w ramach dobrowolnej zasadniczej służby wojskowej” i złożyli przysięgę wojskową, są już traktowani przez nasze siły zbrojne w kategoriach „przeszkolonych rezerwistów”. Wielce to intrygująca informacja, bo jak wynika z innych, ale też rządowych źródeł, szkolenie podstawowe

jest dwuetapowe. Pierwsza faza, która kończy się złożeniem przysięgi, trwa 28 dni, a to oznacza, jeśli dobrze zrozumiałem wypowiedź p. Ministra, że po tym czasie uważamy, że mamy do czynienia z przeszkolonymi rezerwistami. Pozwala nam to do pewnego stopnia zrozumieć, jakie są źródła sukcesu MON raportującego o skokowym wzroście liczebności sił zbrojnych, ale czy z punktu widzenia umiejętności wojskowych w istocie możemy w tym przypadku mówić o sukcesie polityki tego rodzaju?

**Łącznie w świetle danych NIK na koniec 2022 roku w naszych siłach zbrojnych służyło 166,5 tys. żołnierzy, choć przyrost kadrowy wśród pełniących służbę zawodową był więcej niż umiarkowany**

Jan Kallberg z US Military Academy, opisując system szkolenia ukraińskiej armii zwrócił uwagę w [artykule](#) opublikowanym na internetowej stronie think tanku strategicznego CEPA, że jednym z zasadniczych czynników wpływających zarówno na długość, jak i na efektywność szkolenia żołnierzy jest wielkość korpusu podoficerskiego i to, czy szkolimy „surowych” rekrutów, czy doszkalamy żołnierzy mających już doświadczenie bojowe. W przypadku Ukrainy, gdzie w momencie wybuchu wojny było 400 tys. weteranów, którzy uczestniczyli w działaniach frontowych po roku 2014, system szkolenia mógł być skrócony, ale jeśli chodzi o pań-

stwa NATO, pozbawione tego rodzaju „zasobu”, trzeba liczyć się wręcz z wydłużeniem tego czasu. Kallberg pisze wprost: „Opierając się na doświadczeniach z poborowymi w jednostkach w krajach nordyckich, (można stwierdzić, że – MB) wyszkolenie dowódcy plutonu od podstaw zajmuje co najmniej 12–15 miesięcy, dowódcy drużyny – blisko rok, a strzelca – od siedmiu do ośmiu miesięcy”. Osobnym problemem jest brak kadry, która może szkolić rekrutów „z marszu”. W praktyce są to zawsze podoficerowie lub oficerowie niższych rang, którzy na poziomie taktycznym muszą wdrożyć nowicjuszy w podstawowe arkana sztuki wojennej. Trudno zatem poważnie utrzymywać, że nasi rekruci już po niecałym miesiącu służby spełniają wszystkie kryteria i są pełnowartościowymi żołnierzami.

Jest jeszcze jedna kwestia. Jak słusznie zauważył [Tomasz Dmitruk](#), w roku 2015 mieliśmy w naszych siłach zbrojnych trzy dywizje (11. Lubuską, 12. Szczecińską i 16. Pomorską), teraz zaś mamy prócz tych trzech „starych” jeszcze dwie kolejne, które są formowane (18. Żelazną i 1. Piechoty Legionów) i [zapowiedź](#) powołania kolejnego związku taktycznego, który ma być dyslokowany na południowym Mazowszu. Porównując jednak stany osobowe żołnierzy zawodowych w roku 2015 z danymi za rok ubiegły, można dojść do wniosku, że decyzje te oznaczają faktyczny spadek o 25% ukończenia istniejących i tworzonych związków taktycznych. Jeszcze przed wojną na Ukrainie analitycy szwedzkiego think tanku strategicznego FÖI szacowali poziom ukończenia naszych dywizji na maksymalnie 75%, a teraz wskaźnik ten jeszcze zmaleje.

O tym, z jakim problemem mamy do czynienia, świadczą obliczenia Dmitruka, którego zdaniem, aby mówić o pełnym

ukończeniu planowanych 6 związków taktycznych w siłach lądowych, brakuje nam obecnie co najmniej 100 tys. żołnierzy i oficerów zawodowych, nie mówiąc już o zapewnieniu im rezerw osobowych, których dzisiaj nie ma. Oznacza to, że mamy armię „jednorazowego użytku”. Jest to o tyle istotne, że przeprowadzone jeszcze w 2015 roku szacunki strat sił natowskich w razie scenariusza pełnoskalowego konfliktu kinetycznego z Federacją Rosyjską w wariantcie optymistycznym zakładają straty dzienne na poziomie 1200 żołnierzy, a w przypadku Rosjan – na 2500, w pesymistycznym wariantcie nasze straty wyniosą 2,66 tys. dziennie, a rosyjskie –

**W praktyce są to zawsze podoficerowie lub oficerowie niższych rang, którzy na poziomie taktycznym muszą wdrożyć nowicjuszy w podstawowe arkana sztuki wojennej**

1,125 tys. Przez straty należy rozumieć żołnierzy trwale wyeliminowanych z walki, nie tylko zabitych. Warto zauważyć, że relacja strat między siłami rosyjskimi i ukraińskimi po 18 miesiącach walki układa się według scenariusza pozytywnego i wynosi 1 do 2. Jeśli zatem założyć, że to nasze wojska lądowe dostarczą główną kontrybucję sił walczących na wschodniej flance, to po 100 dniach wojny może okazać się, że przy obecnym ich stanie liczebnym i wielkości rezerwy nie mamy już armii.

## Plany sojusznika

Jest to o tyle istotne, że Amerykanie nie rozbudowują swych sił lądowych na tyle, aby móc poważnie twierdzić, że myślą o przyjęciu na swoje barki głównego ciężaru ewentualnej wojny z Federacją Rosyjską. Wynika to zarówno z kryzysu rekrutacyjnego, który przeżywa obecnie amerykańska armia, która nie jest w stanie przyciągnąć tylu ochotników, ilu zamierzają, jak i z założeń przygotowywanej reformy, zbiorczo określanej mianem „Armia 2030”.

Amerykańska armia przyszłości (siły lądowe) ma składać się z kilku podstawowych komponentów – formacji zadaniowych. Mowa jest o trzech ciężkich (przełamaniowych) dywizjach pancernych, których zadaniem będzie przebicie się przez linie obrony przeciwnika. Mają to być dywizje czterobrygadowe, z których 3 będą działały w ramach tzw. Brygadowych Zespołów Bojowych (*Brigade Combat Teams*) z ciężkim komponentem pancernym, które budowane będą na bazie istniejących 1. Dywizji Kawalerii, 1 Dywizji Pancernej i 34. Dywizji Piechoty. Odpowiednio wzmocnione, mają one być główną siłą ciężką w amerykańskich wojskach lądowych. Ich potencjał ogniowy (artyleryjski) ma zostać rozbudowany, bo dotychczas nawet tzw. ciężkie dywizje amerykańskie były znacznie słabsze od rosyjskich, podobnie jak zdolności inżynieryjne niezbędne do pokonywania barier i rzek. W świetle oficjalnych dokumentów ich obszar odpowiedzialności ma obejmować od 18 do 28 km frontu w sytuacji, kiedy korpus odpowiada za odcinek o szerokości od 55 do 85 km, a armia – do 250 km. Jednocześnie długość granicy NATO z Federacją Rosyjską przekracza obecnie 2 tys. km. Nawet nie biorąc pod uwagę per-

spektywy członkostwa Ukrainy w Pakcie Północnoatlantyckim, plany utworzenia przez amerykańskie siły lądowe docelowo jedynie trzech ciężkich dywizji pancernych oznaczają, że to inni sojusznicy będą musieli wnieść w tym segmencie swoją kontrybucję. W przeciwnym przypadku, z wojskowego punktu widzenia NATO będzie miało jedynie ograniczone możliwości przełamania linii rosyjskich.

**Jeśli zatem założyć, że to nasze wojska lądowe dostarczą główną kontrybucję sił walczących na wschodniej flance, to po 100 dniach wojny może okazać się, że przy obecnym ich stanie liczebnym i wielkości rezerwy nie mamy już armii**

Oczywiście można powiedzieć, i jest to prawdą, że potencjał ten będzie wzmocniany przez lżejsze formacje (o mniejszej sile ognia). W ramach planu Armia 2030 amerykańskie siły lądowe mają utrzymać cztery (docelowo) dywizje, w dotychczasowej nomenklaturze określane mianem pancernych (*armor divisions*). Mają to być formacje bardziej uniwersalne, z większą liczbą żołnierzy, mogących się szybko przemieszczać (choć w ich skład będą wchodziły 3 brygady). Analitycy portalu „Battle Order” zwracają uwagę na fakt, że trzonem amerykańskich sił lądowych w docelowym modelu Armii 2030 będą dywizje lekkie, mobilne, ale relatywnie

słabo uzbrojone. Model ten będą uzupełniały dywizje szturmowe (101. Dywizja) i powietrzno-desantowe (82. Dywizja).

Jeśli analizować strukturę dywizji lekkich, z których każda posiadała będzie 3 brygady uderzeniowe, to każda z nich składała się będzie z 5 batalionów, z których jednak 3 oznaczone są jako CONUS a 2 OCONUS. Cóż to znaczy? CONUS jest terminem określającym przeznaczenie tych formacji, kwalifikującym je jako mające działać na kontynencie amerykańskim. A zatem jedynie 2/5 potencjału uderzeniowego lekkich dywizji sił lądowych Stanów Zjednoczonych ma być przeznaczonych do walki na oddalonych odcinkach.

Wnioski, jakie można wyciągnąć z planowanych zmian w amerykańskich wojskach lądowych, są dość oczywiste. Zmienia się formuła dowodzenia, w związku z prawdopodobieństwem wojny na większą skalę trzeba myśleć w kategoriach teatru działań wojennych i korpusów, co powoduje, że podstawową jednostką organizacyjną ma się stać dywizja. Ale czy Amerykanie planują skokowe zwiększenie swego potencjału w tym zakresie? W 2022 roku 11 z 31 aktywnych brygad manewrowych w amerykańskich siłach lądowych można było klasyfikować jako ciężkie. W roku 2030 ma ich być 17. To nie jest mało, ale jako że amerykańska strategia zakłada ryzyko wojny na dwa fronty i konieczność utrzymania sił na kontynencie amerykańskich, w najbliższych latach trudno będzie liczyć na skokowy wzrost obecności naszego głównego sojusznika na wschodniej flance. Wręcz przeciwnie, przywiązanie do formuły lekkich dywizji, które można łatwo dyslokować na znaczne odległości, świadczy o tym, że dowództwo amerykańskich sił zbrojnych chce dysponować siłami, których będzie mogło

użyć zarówno w ewentualnej wojnie z Rosją w Europie, jak i w razie wybuchu konfliktu w Azji.

### **Konsekwencje dla NATO**

Nowa architektura bezpieczeństwa na wschodniej flance NATO, której budowę potwierdzono w toku ostatniego szczytu Paktu Północnoatlantyckiego w Wilnie, zakłada powołanie trzystutysięcznego korpusu, dowodzonego przez amerykańskiego generała. Korpus ten byłby w stanie wejść do działań wojennych w ciągu do 30 dni od wydania rozkazu, z tego pierwsze 100 tys. żołnierzy musi być gotowe w ciągu 7 dni. To państwa naszego regionu będą budować te siły. Amerykanie wesprą je swoim potencjałem i dostarczą zdolności, którymi my nie dysponujemy (zwiad, rozpoznanie, łączność, zdolności kosmiczne, lotnictwo, broń precyzyjna etc.), ale z pewnością nie myślą o przyjęciu na siebie głównego ciężaru walk. Ta rola, szczególnie w zakresie sił lądowych, zarezerwowana została dla Europejczyków ze wschodu i może jeszcze Niemców, o ile obudzą się ze swej strategicznej drzemki. To dlatego tak uważnie na Zachodzie obserwuje się postępy Polski w zakresie rozbudowy potencjału militarnego. Bez naszej kontrybucji wschodnia flanka NATO będzie równie osłabiona, jak za czasów, kiedy w europejskich stolicach wierzono, że Federacja Rosyjska jest cywilizowanym i wiarygodnym partnerem, z którym można budować przyszłość.

Często przywoływana cezura roku 2030 jest w tym przypadku nieprzypadkowa, bo wielu zachodnich analityków, w tym szefowie amerykańskich służb specjalnych jest przekonanych, że Rosja będzie potrzebowała od 5 do 10 lat na odbudowanie swego potencjału wojskowego. A zatem Waszyngton kibicuje wy-

siłkom Warszawy i wierzy, że deklaracje o 300 tysiącach siłach zbrojnych uda się zrealizować. Osobną kwestią jest to czy odpowiada nam rola „dostarczyciela” sił, na których spoczywał będzie główny ciężar walk, jeśli wojna wybuchnie, a co za tym idzie – również takich, które poniosą największe straty.

**Bez naszej kontrybucji  
wschodnia flanka NATO  
będzie równie osłabiona, jak  
za czasów kiedy  
w europejskich stolicach  
wierzono, że Federacja  
Rosyjska jest  
cywilizowanym  
i wiarygodnym partnerem,  
z którym można budować  
przyszłość**

Jednak jeśli okaże się, że nasze plany i ambitne deklaracje są jedynie programem, którego nie udaje się zrealizować, to nie tylko ucierpi na tym – i to dramatycznie – nasza wiarygodność sojusznicza, ale w nie mniejszym stopniu – również nasze bezpieczeństwo. Sprawa jest zatem zbyt poważna, aby przyglądać się, jak resort obrony „pudruje rzeczywistość”, przekonując opinię publiczną, że jesteśmy na dobrej drodze do stworzenia trzystutysięcznej, nowoczesnej armii. Tak nie jest i najbardziej śmiałe deklaracje nie przysłonią faktu, że bez powrotu do powszechnego obowiązku obrony nie zbudujemy takiego potencjału.